

# Marek Sołtysik

---

## Poruszone zdjęcie Przybyszewskiego : (cz. 2)

---

Palestra 51/9-10(585-586), 145-150

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

## PORUSZONE ZDJĘCIE PRZYBYSZEWSKIEGO (cz. 2)

### Łańcuch samobójstw

Po samobójstwie Marty Foerder, w które wmieszany był Przybyszewski, z dnia na dzień stawał się on w Berlinie *persona ingrata*. Nawet poeta Richard Dehmel, do niedawna przyjaciel, uznał jego postępek za wstrętny i ignorował prośby o pożyczkę. Baron Eberhardt Bodenhausen, współzałożyciel modernistycznego czasopisma „Pan”, udzielając Przybyszewskiemu wsparcia, zmuszony był go pouczyć, żeby w sprawach pieniężnych nie dawał słowa honoru: „Bo z tym słowem honoru to może się zdarzyć coś bardzo nieprzyjemnego. Mój rodzony bratanek zobowiązał się przed paru laty tu w Poczdamie do zwrotu pieniędzy na 1 listopada: rankiem 1 listopada znaleziono go w łóżku – martwego. Zastrzelił się”.

Bodenhausen nie miał złudzeń: Przybyszewski w Niemczech już nie utrzyma się z literatury. Radził mu szukać posady, którą będzie mógł rzucić, gdy ugruntuje się jego sława. Przybyszewski zareagował z oburzeniem: na posadzie skończyłby się jako twórca!

Już nie starczało na nic. Dagny, znów w ciąży, wróciła do rodziców – i do Zenona – w Kongsvinger. Mąż pozostał. Dzieci? Dziewczynki na razie w sierocińcu. Synek u stryjostwa. W dziewięć miesięcy po tragedii na Wöhlerstraße Przybyszewski pisał do poety Macieja Szukiewicza, że ten pięcioletni Bolesł zachorował, ale nie daje się zaciągnąć do lekarza, „bo gdy mu matka przed rokiem umarła, był święcie przekonany, że doktor ją zabił, i teraz się podobnego losu spodziewa”.

Materialnie było już tak źle, że pisarz był zmuszony udać się do Kongsvinger i studiować m.in. rzeźby Vigelanda... na koszt państwa Juel. Moralnie niebawem wsparty w wyniku potężnego oddźwięku jego utworów w Czechach – w środowisku młodych twórców wzbudziła entuzjazm jego „Totenmesse”, wydrukowana w

„Moderni Revue” Arnošta Proháski i Jižego Karáska – wrócił do Berlina nie tylko z nadzieją na czeskie przyjaźnie, ale... także gnany obietnicą posady redaktora naczelnego pisma poświęconego okultyzmowi.

5 czerwca 1897 roku – w rok po samobójstwie Marty – Dagny urodziła w Kongsvinger córeczkę Iwię. I oto Przybyszewski nie mógł ruszyć się z Berlina, nikt mu już bowiem nie pożyczał, nikt nie współczuł, gdy brak gotówki tłumaczył haniebnym oszustwem dra Richarda Wrede z „Metaphysische Rundschau”. Pisarz pracował przez kwartał na etacie redaktora – przygotował trzy numery okultystyczne, a obiecanych 600 marek nigdy nie zobaczył! Tęsknił. Iwię zobaczy dopiero pod koniec roku. Bez grosza bowiem i otoczony przez wierzących bezskutecznie usiłował sprzedać obrazy Muncha, rzeźby Vigelanda. Dehmel postawił weto – i w rezultacie nawet najbliższej mu kobiecie, konsulowej Idzie Auerbach (niebawem Idzie Dehmel) nie udało się wejść okazynie w posiadanie cennych dzieł sztuki.

Polacy wreszcie upomnieli się o Przybyszewskiego. Zaproszenie przyszło z Galicji.

Przybyszewski wjeżdżał do Krakowa (a raczej wysiadał z pociągu) w nimbie sławy przydanej mu tam na wyrost. Istniała potrzeba, żeby mizeryka postrzegać jako sławnego geniusza. Oczekiwany pisarz był zrazu ostrożny, przyjechał na rekonesans. Przez kilka dni noszony na rękach przez rodaków, po nędzy berlińskiej uszczęśliwiony nadmiarem dóbr, zatelegrafował do Dagny: przyjeżdżaj z dziećmi! Dagny błyskawicznie w Krakowie! Mężczyźni z kręgów modernistycznych zachwyceni. „Szczupła, wiotka, eteryczna, miała głowę bardzo foremną, osadzoną na smukłej, zawsze odkrytej szyi. Przedstawiała typ, który dwadzieścia lat później uchodził za ideał urody niewieściej” – wspominał po latach Alfred Wysocki („Sprzed pół wieku”, Kraków 1958), wdychając w zadumie: „...kto może zbadać tajemnicę serca kobiecego!” – a to w związku z pijaństwami, szalami Przybyszewskiego, jego włóczęgostwem, notorycznym brakiem środków. Gdy miał pieniądze, natychmiast wszystkim stawiał. Potem małżonkowie siedzieli w chłodzie i o głodzie. Jeszcze w Berlinie towarzystwo kochało Dagny za to, że potrafiła powiedzieć: To są wspaniałe godziny odprężenia, którego Stach tak potrzebuje!

W kontaktach z kobietami jednak, jak Boy wspominał, „potrafiła być Dagny lodowato impertynencka”.

Jasne, puszyste a jedwabiste włosy, oczy niebieskozielone jak fiordy, głęboko podkrążone, półuśmiech. Wysoka, smukła, miała przypominać postacie z obrazów Filippino Lippi i Botticellego.

Lecz wkrótce ona, która w Niemczech czy w Norwegii była wspaniałą partnerką trwających do świtu dyskusyj, tutaj w Krakowie zwiędnie. Nie nauczy się języka polskiego; panowie będą ją – o zgrozo – traktować jako ozdobę, pełną czaru młodą kobietę, leżącą jak lalka, śpiącą z nudów na stosach palt dyskutantów w którymś z zadymionych lokali.

Alfred Wysocki: „Czy mogła więc czuć się w tych warunkach nadal tym żywym źródłem natchnień Przybyszewskiego, które wydały *Vigilien*, *Totenmesse*, *Am Meer*?

Spotkałem ją kiedyś na ulicy. Szła sama, źle ubrana, jakby postarzała. Oczy miała podpuchnięte, twarz nabrzmiała. Zapytałem więc z dawną przyjaźnią:

– Ducha, powiedz mi szczerze, dlaczego jesteś taka smutna, co ci dolega?

Po chwili namysłu odparła:

– Nic mi właściwie nie jest. Trudno mi tylko przyzwycząić się do nowych warunków. W Berlinie miałam Sigrid, Maję, miałam mego towarzysza dzieciennych lat Arne Sema. Tutaj nie mam nikogo bliskiego. Wiesz – ja nie bardzo wierzę w to wszystko, co nas tu otacza. Zresztą nudzę się. Wszyscy mówią po polsku, a ja...

Dagny Juel, zanim poznała męża, Meteora Młodej Polski, owego Stacha, Smutnego Szatana, zdążyła złamać serce Edvardowi Munchowi. Uwieczniona w postaci świeckiej „Madonny” na sugestywnym obrazie olejnym i w litografiach Muncha, tkwi w świadomości odbiorców jako kobieta-wamp.

Ta zwiewna, bezpierzna (co Boy ujawnił) Dagny, później w Warszawie, pozując w 1901 r. do wstrząsającego portretu kobiety opuszczonej a dumnej Konradowi Krzyżanowskiemu, zapewniła mu jako malarzowi nieśmiertelność. Ta sama Dagny, demon, kobieta, która jeden raz tylko oddała się młodemu Tadeuszowi Żeleńskiemu-Boyowi, a potem z daleka patrzyła chłodno, jak się ten chłopak (bez blagi, bliski śmierci) zadreżca, ta sama, która wprawiała w euforię Strindberga, żeby mu niespodziewanie dać kosza w szczytowym momencie ich pożycia, która położyła na łopatki najlepszą artystyczną młodzież, świetnie wykształconych poetów, związuując tak zwany łańcuch lwowskich samobójstw, pojedzie po śmierć, jak owca na rzeź, nie z którymś z wielkich, lecz z pozbawionym talentów młodzieńcem...?

Ale o tym później. A Przybyszewski w Krakowie?

Sam potrafił o sobie (jako o postaci z własnej sztuki, Przeclawskim) napisać: „Ma miesięcznik (wszyscy wiedzieli, „Życie”), tak zwanych dekadentów, w ręku. Ręce mu się trzęsą – wiesz, Gustaw, *tremor alcoholicus* (...) Hi, hi, hi... Łkające ręce...”

Ale to działo się w Krakowie w czasie, kiedy nie rada miejska rządziła i nie prezydent, lecz, jak wspomina Juliusz Kaden-Bandrowski: „Wszystko poza Przybyszewskim było dla nas wtedy skończonym, bezczelnym idiotyzmem (...) Byłbym przysiągł, że z falujących włosów czupryny i brody idzie lśnienie nadnaturalne”.

Z początkiem czerwca 1899 r., żeby przerwać obchodzone hucznie od 29 maja chrzciny lwi, Dagny z dziećmi wyjechała do Zakopanego. Do cierpiącej (żołądek, przełyk, stan zapalny jamy ustnej) zaczęły docierać niepokojące wieści.

Zdradził!

Fatalny dzień, jego straszne następstwa. Odczyt Przybyszewskiego o Chopinie (przesunięty z 4 czerwca 1889 r. na 5 czerwca w poniedziałek z powodu, jak podano, zasłabnięcia pisarza) zgromadził tłumy.

Wielki tryumf. Ale wcześniej prelegent musiał potężną dawką bromu uspokoić owe rozdygotane ręce, zwolnić język usztywniony tygodniową libacją. Czytał utwór, który uważał za wielki. W liście do Dagny szacował zgromadzonych na tysiąc osób. Oklaski przed, oklaski po. Po trzech kwadransach odczytu sala oszalała. Potem wizyta u Kasprowiczów – Kasprowicz „zrobił się abstynentem. Żona jego

jest najśłodszym stworzeniem, jakie pomyśleć można i bardzo subtelna, bardzo filigranowa, bardzo piękna. Oboje kochają mnie bezgranicznie. Och, gdybyś ty tutaj była”. Gdyby była, może nie doszłoby do tragedii.

Nazajutrz – we wszystkich gazetach – entuzjastyczne sprawozdania z odczytu. Ale... Czas płynął – do Dagny w Zakopanem mąż jakoś dotrzeć nie może.

10 lipca 1899 r. ukraiński poeta Wasyl Stefanyk, znajomy Anieli Pająkównej, utalentowanej malarki pozostającej pod opieką materialną i moralną patrycjuszowskiego rodu Pawlikowskich z Medyki, pisał do niej, że Przybyszewskiego widział w Krakowie na ulicy, gdzie pośród kurzu wirującego w słońcu, zataczając się i o zaleźnionej twarzy, wyglądał „jak dziecko zatroskane”.

Dlaczego trzydziestopięcioletnia Pająkówna wypytywała o Przybyszewskiego? Bo trzydziestoletni Przybyszewski, który poznał ją na sławnym odczycie we Lwowie, związał się z nią uczuciowo, nie wahając się zresztą od damy serca pożyczać pieniędzy. Była jedną z tych dwóch niewiast, które dały się ponieść rozkochaniu nim, jego odczytem. Znające go wcześniej z lektur i z wspaniałego kształtu, jaki nadał „Zyciu”, Jadwiga Janowa Kasprowiczowa i Aniela Pająkówna nie były pierwszymi naiwnymi. Przeciwnie: Kasprowiczowa z doświadczeniem życiowym żony ostro popijającego poety lirycznego i matka dwóch córek tegoż, już z potężnym epizodem romansowym z młodym krakowskim adwokatem Tadeuszem Dwerńickim, z ucieczką z kochankiem w 1895 r. do Zakopanego... i z powrotem do domu. Pająkówna, po studiach malarskich w Paryżu i w Monachium oraz po narzeczeństwie w 1891 r. z Antonim Potockim, które ją kosztowało bezpowrotną utratę potężnej sumy 9000 florenów, wyznaczonej przez Pawlikowskich na jej posag utalentowanej córki ich majordomusa, a oddanej narzeczonemu na założenie szlachetnego polskiego wydawnictwa, z góry skazanego na plajtę, ale torującego wydawcy drogę międzynarodowej kariery, następnie po mniej kosztownym, za to „bajecznie kolorowym” narzeczeństwie z niezidentyfikowanym chłopomanem, rekomendowanym przez samego Sewera – Ignacego Maciejowskiego, pisarza i dobrego ducha krakowskiej cyganerii, w Przybyszewskim zobaczyła wreszcie wielkiego artystę i potężnego człowieka.

Aniela Pająkówna była już dojrzała i wiedziała, co robi. Poza tym miała w pamięci list z Krakowa, pisany w połowie listopada 1898 r. przez będącą dla niej jak matka i przyjaciółka Helenę Mieczysławową Pawlikowską:

„Przybyszewski jest alkoholik nałogowy, czyli po prostu pijak, który jednak nigdy pijakiem się nie wydaje. Ja sądzę, że pisze będąc bardzo ekscytowanym w rodzaju rozmaitych faz *delirium tremens*, pisze te dziwne, a jednak piękne rzeczy. (...) mógłby się stać geniuszem, bo jest w nim materiał, jest w nim talent i dusza niezwykła. Jeżeli pozostanie takim jak jest, to wpływ jego dodatni nie będzie, a wpływ jego wielki na grono młodzieży i artystów – formalnie szaleją za nim, zwą Mesjaszem, a urok jego ma być tak wielki, że nikt oprzeć mu się nie zdoła (...)

W życiu ma być zupełnie inny niż w piśmie, skromny, prosty, naturalny – stąd więc sądzę, że jest w nim dwóch ludzi (...) Żona jego piękna, kochają się bardzo i

nie rozłączają się nigdy prawie. Dzieci mają dwoje, biedni są bardzo. W Berlinie (...) dzieci puchły z głodu.

Za «Życie» on nie zapłacił wcale, przeszło tylko kierownictwo z rąk Sewera w jego ręce”.

Dodajmy, że oprócz wikt, trunków, mebli i bibelotów, znoszonych przez wynawców Smutnego Szatana do jego *locum*, znalazł się nie byle kto, bo właściciel składu fortepianów w Rynku, w Pałacu Larischa, pan Zdzisław Gabryelski (niebawem samobójca), który ofiarował Przybyszewskim Petroffa!

Od października 1898 r. do czerwca 1899 r. pierwsze krakowskie mieszkanie Przybyszewskich tętniło życiem: zabawą – a jednak i pracą. W kącie gospodarz ustawił biurko. Który z biesiadników miał dosyć zgłębku, zasiadał tam, żeby tłumaczyć na polski wydane w języku niemieckim książki Przybyszewskiego. Przekłady tym sposobem ukazywały się szybko, lecz były słabe. Sam autor nie miał czasu na ostateczną redakcję. Całe noce biesiad. Dagny grała Schumanna, Griega (ongi przyjaźniła się z Griegiem), wespół z świetnym muzykiem i totumfackim Stanisławem Szyszką sonaty skrzypcowe Beethovena. Potem Przybyszewski z Szyszką – Bacha. Wreszcie Chopina – sam. I alkohol.

Boy-Żeleński, świadek tych nocy, pisze, że „duszę wywlekał z człowieka Stach przy fortepianie! Kto go widział, ten go nie zapomni. Czemuż takim nie pokazano go na pierwszej karcie *Moich współczesnych* zamiast zażawionego dziadygi, który patrzy na nas z fotografii!”

Dagny, jeszcze w świeżej rozterce, jeśli była widywana w Zakopanem, to rzadko: niewyspana, splakana, w płowiejących czerniach i z markotnymi dziećmi. Przybyszewski owego lata był w sytuacji nie do pozazdroszczenia. On, do niedawna tu król bohemy, już wówczas oznajmiał: „z tego ohydneho Krakowa wyjechać na razie nie mogę”. Powód – pustka w portfelu.

Ale mimo pozorów nie był to człowiek skończony. Kiedy pozostawiał za sobą ulicę i przekraczając klucz mieszkania, odcinał od siebie myśli, że zalega za czynsz, odgradzając się od świata, pisał. Pisał „Gości” drugą integralną część „Złotego runa” (obie części złożą się później na „Taniec miłości i śmierci”). Ale nie wystarczałyby twórczość. Życie było dla tej twórczości napędem. Nie miał pieniędzy, ale miał swoich miłosnych pocztulionów. Otóż subtelni młodzi poeci skupieni wokół „Życia” i „Chimery” służyli mu, gdy trzeba było przemycić list, jeśli rzecz dotyczyła Lwowa to do panny Pająkówny w tajemnicy przed panią Kasprowicową i na odwrót.

Uwaga, uwaga! „Życie” – miejsce publikacji dzieł wyborowych, wydawane na wysokim poziomie edytorskim (m.in. wylansowało Wyspiańskiego-plastyka, do tychczas lekceważonego!) – już w styczniu 1900 r. zostało skonfiskowane po ukazaniu się w nim rapsodu „De Profundis” Przybyszewskiego, rzeczy o kazirodztwie. Autor rapsodu miotał się między czterema kobietami – w piekle, które stwarza nadmiar namiętności. Miłość to nie rozciągliwe, pojemne naczynie.

Coraz gorsze warunki. Z salonów domu w ogrodzie na Karmelickiej róg Siemiradzkiego Przybyszewscy zmuszeni byli się przenieść do małego mieszkania na

trzecim piętrze przy Karmelickiej. Dagny coraz gorzej znosiła postępującą degradację. O poważnych zdradach ze strony Przybyszewskiego huczały Kraków, Lwów, słyszała także Warszawa. I oto... Dagny także niewierna?! Podczas starć między kobietą a mężczyzną wiele się zdarzyć może, zwłaszcza gdy jednym z szermierzy słowa jest autor „De Profundis”. Oto w styczniu 1900 r. w ostatnim krakowskim mieszkaniu Przybyszewskich, przy ulicy Zielonej 19 (dziś Józefa Sarego), już o niskim standardzie, doszło do gwałtownego spięcia. Dagny z samozaparciem oświadczyła, że jej pierwsze dziecko, Zenon, duma męża, nie jest jego synem!

Doszło do zerwania. Ale nie do rozwodu. Dagny wzięła Zenona i wyprowadziła się.

(Niby na marginesie, ale ważne: małą Lwię ojciec oddał pod opiekę swej przyjaciółki, Pająkówny, Pająkówna niebawem nie będzie w stanie opiekować się Lwią, ponieważ sama 1 października 1901 r. urodzi dziecko, poczęte w dniu, kiedy Przybyszewski, omówiwszy sprawę opiekuństwa i uważając, żeby Kasprowiczowa, z którą miał właśnie romans, tego nie widziała, zmyliwszy tropy, dostał się do pracowni Pająkówny, gdzie pożegnalny uścisk przerodził się w burzę pocałunków, gest przeszedł w czyn – namiętny, erotyczny, i z naturalnymi konsekwencjami. Dziecko wyrosło na dramatopisarkę Stanisławę Przybyszewską, siłaczkę. Naznaczoną fatum samozagłady. Lecz wszystko w swoim czasie.)

Czy nie ciekawe, co wyprawiała pani Dagny? Po aferze z mężem, kiedy słowo zostało powiedziane i nie było możliwe wycofanie się z rewelacji o nieprawym pochodzeniu Zenona, Dagny Juel Przybyszewska, już zawsze ubrana czarno, nie wytrwawszy długo w Kongsvinger, pojechała z Zenonem do Paryża i tam się obracała w towarzystwie poety Wincentego Korab Brzozowskiego, a gdy wysiadła z pociągu na ziemiach polskich, w Warszawie i w Krakowie towarzyszył jej brat Wincentego, poeta i świetny już tłumacz Stanisław Korab Brzozowski. Ten dwudziestoczteroletni sekretarz redakcji „Chimery” tak się w o dziesięć lat od niego starszej, zmęczonej życiem Dagny kochał i 29 kwietnia 1901 r. poczuł się przez nią aż tak odrzucony, że w lokalu przy ulicy Książęcej 7 w Warszawie (w lokalu gościnnym przy redakcji „Chimery”, który dzielił z Przybyszewskim) wyprawił ucztę artystyczno-alkoholiczną, nad ranem, oddzielony od kompanów przymkniętymi drzwiami, odebrał sobie życie, zażywając truciznę. (Podobnie pięć lat temu urządził ostatni wieczór w mieszkaniu na Nowym Świecie, z cyjankali dla siebie, Władysław Ordyński, brat reżysera, Ryszarda.) Rewolwer, narzędzie kolejnego czyjegoś samobójstwa, Stanisław pozostawił w spadku na mocy własnoręcznego zapisu nie bratu, lecz... Władysławowi Emerykowi, synowi multimilionera, przedsiębiorcy, a niegdyś ryzykownego adwokata.

Od tego momentu Władysław Emeryk nie rozstawał się z rewolwerem.

To było w epoce tak zwanych łańcuchów samobójstw w kręgach intelektualnych. Następstwami „infekcyj psychicznych” próbował Boy wyjaśnić liczne występowanie samobójstwa bez konkretnych motywów.